ROZMAITOŚCI.

Dnia 16 sierpnia, N^r. 33. roku 1845.

Rybak z Noli.

Jadąc z Nizzy do Genui przebywa się San Remo, Oneille i Albenga, a potém staje się w Noli. To ostatnie miejsce jestto mała rybacka osada nad brzegiem morza, bez wątpienia jeden z najszczęśliwszych zakątkow ziemi, tylko nieco zbyt spartańskiego sposobu myślenia, i zanadto po spartańsku na resztę świata spoglądający. Opowiadano mi wiele o tych śmiałych rybakach, którzy nie znają nad sobą pana — oprócz morza. Byłem tędy bardzo ciekawy zabrać bliższą z nimi znajomość, i przyjąłem z ochotą wezwanie do zamierzonéj właśnie wyprawy rybackiéj.

Odpłynęliśmy w nocy od lądu, przy dosyć silnym wietrze. Każdy z naszych statków — a było ich siedm wszystkich — miał po dwa wiosła i duży trójkątny żagiel. Wsiadłem do łodzi młodego, wysmukłego rybaka, który się zwijał jak najrączejszy Indyjanin, a przytém mocno był zakochany. Proszęż zgadnąć w kim? Oto w osobie siedzącéj u stéru. Jakoż byłto najpiękniejszy sternik pod słońcem — byłato śliczna, młoda kobiéta, warta tego zaprawdę, aby się jéj namiętnie całą duszą oddać.

Należała ona do owych południowych piękności, które tak często — lecz rzadko dobrze — opisywane były; przezco nie chcę bynajmniéj dać do zrozumienia, iż ja lepiéj opisać ją potrafię. Byłato brunetka. Jéj bujne krucze włosy, zwyczajem greckim zaczesane, tworzyły duży warkocz spięty aksamitną wstążką. W oku jéj mieszkała jakaś posępność i duma, wokoło ust igrał błogiego uroku uśmiéch, świadczący o wewnętrznym spokoju duszy. Jéj regularny toskański zarys lica przypominał zarówno włoski jako téż i północny typ twarzy.

Nazywała się Jigia, jéj mąż zaś — gdyż byli pobrani z sobą — Antonio-Marco, w skróceniu Antomarc, a czasem zwała go Anton. Tożsamo czynił on także, nazywając ją podług chwilowego upodobania Jigina, Jia, lub Jiginetta.

Jigia, siedząca u stéru, nie zdawała się nawet wiedziéć o tém, jak była piękna. A że noc była chłodna, przeto zawinęła się w płaszcz rybacki, którego rękawy po obu stronach na ramiona jéj spadały. Wysmukły stan jéj był w ciasny gorset z brunetnego sukna ujęty; zresztą miała czerwoną, ale bardzo krótką spodnicę — i nic wcale na nogach.

Całym ubiorem zaś Antomarka były: szara płócienna koszula, takaż mycka i spodnie.

Tak popłynęliśmy we trójkę — ja i oboje kochankowie — na morze. Reszta rybackiéj floty mało mię obchodziła; widok Jigii stał mi za wszystko.

Po dwugodzinnéj żegludze zaczęto się w jeden szereg szykować, zwinięto żagle, i zarzucono sieci, przyczém Antonio dawał dowody nadzwyczajnéj zręczności i niesłychanéj odwagi.

Zatopione w morze sieci tworzyły ogromne półkole, a statki zaczęły płynąć powoli przy nieustannem uderzaniu wiosłami. Rozprzestrzenione i wzdęte wiatrem sieci posuwały się majestatycznie za nami. Po półgodzinném oczekiwaniu i uroczystém milczeniu, zaczęto sieci zwolna

zpod wody wydobywać i wciągniono je z wielką ostrożnością na pokład. Skutek okazał, że piérwszy połów powiódł się bardzo szczęśliwie; obecność Jigii była rybakom wielce pomyślną. Ułowiono mnóstwo ryb różnego rodzaju: ogromnych łupaczów, krabków, fazyjanotów morskich, tunetek małych i Bóg wié ile mniejszych ryb i rybek, które napowrót w morze wrzucono.

Jigia była nadzwyczajnie rada z tego szczęśliwego połowu. Uśmiéchała się nader miło, odsłaniając dwa równiusieńkie rządki białych zębów; oczy jéj ożywiły się promieniem radości, i tak co chwila zwracała się do Antonia, wołając:

»Anton, é viva!«

»É viva, Jigina!« odpowiadał Antonio ciskając z miną zwycięzką pod jéj piękne nogi ogromne twory morskie, które tak sprężysto się rzucały, jak gdyby już wrzące uczuwały olej.

Wkrótce poranna zorza oświéciła gładką przestrzeń morską, a wiatr powiał tak chłodno, iż Jigia wziąwszy z pod ławki dużą, wełnianą płachtę, w nią się owinęła. Zarazem ujrzałem, iż z największą troskliwością na coś pod ławką leżącego uwagę zwracała, czegom wprzód nie dostrzegł. Byłto podługowaty koszyk, który Jigia starannie białém płótnem okryła.

Po skończonym połowie dzielili rybacy najpoczciwiéj zdobycz pomiędzy siebie, nie dopuszczając się przy tém najmniejszego ukrzywdzenia lub swaru. Poczém zabrali się wszyscy do śniadania. A że morze bardzo spokojne było, przeto mógł sobie każdy wygodnie zasiąść do swoich zapasów. Jigia przewidywała iż ja i Antonio będziemy mieli dobry apetyt, więc wynoisła z kajuty kosz, szynką, wędzonémi rybami i twardo gotowanémi jajami zaopatrzony, który wraz z dwoma butelkami najlepszego wina San-Remo z uprzejmym wdziękiem przed nami zastawiła. Wszystko było przewyborne, a zadawalniany apetyt i dobre wino dodawały wesołości śniadaniu. Sama Jigina jadła tak smaczno i szczérze, jakby tego żadna, równie jak ona piękna Paryżanka nigdy uczynić nie umiała. Na zakończenie śniadania wypiliśmy po dwa lub trzy kieliszki *rosoglio*, które nadzwyczaj mi smakowało, nim się jeszcze dowiedziałem, iż Jigina sama ten trunek przyprawiała. Antonio miał tytoń lewantyjski i przepyszne fajki. Nie mogłem się nadziwić przypatrując się jednéj z nich, którę mi podał. Miała ona z krymskiéj wiszni cybuch, u którego koniec był z białéj jak mléko ambry, najrzadszéj, jaka może na świecie się znajduje, a rękojęć z czarnego, złotem przetykanego aksamitu.

»Powiédz mi, mój kochany Antonio,« — ozwałem się do niego — »czyś nie służył podczas wojny na wschodzie? Wszak to jest fajka, z jakiéj tylko sam pasza mógł palić.«

Antonio uśmiéchnął się, i nic nato nie odpowiedziawszy, rzucił mi kapczuk pełen tytoniu abym sobie fajkę nałożył. Co gdy się stało, rozciągnęliśmy się wygodnie na ławkach łodzi i zaczęliśmy w milczeniu gęste kłęby wonnego dymu puszczać.

Tymczasem oddaliła się Jigina ku tylnéj części statku, wyciągnęła ostrożnie stojący pod ławką koszyk, i usiadła przed nami, piękna i majestatyczna jak Madonna, z małém dzieciątkiem na ręku.

Byłem tym niespodzianym widokiem tak mocno zdziwiony a oraz zachwycony, że mi aż fajka zgasła. Antonio skrzesał obojętnie ognia i podał mi kawałek hubki.

»Cóż panu jest?« zapytał. »Czyś słaby? Może choroba morska...?«

»Ach, nie to, nie to, mój Antonio!« odpowiedziałem. »Nie uwierzysz, jak twoja żona bardzo mi się podobała.«

»Ej,« — rzekł Antonio, paląc spokojnie fajkę — »czy się może w niéj nie rozkochałeś?«

»Gdyby ona nie była twoją żoną, byłbym to już dawno uczynił.«

»Jigina, moja kochana,« — ozwał się rybak — »podziękujże zato.«

Jigia ścisnęła najprzód usta w sposób, który wdzięczność i szyderstwo zarazem mógł oznaczać, a potém skłoniła mi się z lekka głową i ucałowała kilkokrotnie raz poraz swoje dziecię przy piersiach

będące. To miało znaczyć tyle co: »Drwię ja sobie z twojego uwielbienia i przenoszę moje dziecię i mojego Antonia nad wszelkie podziwy świata.”

Podczas tej przerywanej rozmowy zrobiłem postrzeżenie, które nowém zdziwieniem mię przejęło. Przy odpłynieniu z Noli i w ciągu połowu przemawiał Antonio do mnie owym zepsutym rybackim językiem, który się z mieszaniny piemontyńskiego i toskańskiego narzecza składa. Odkąd zaś razem z sobą fajki palić zaczęliśmy, mówił jaknajczyściej sławnym florentyńskim dyjalektem, który tak miło i pełno brzmi w ustach.

„Czy on to przez koketeryją czyni?” pomyślałem sobie. „Albo miałżeby ten młody człowiek wprzód czém innem się trudnić, nim się z Jigią ożenił?”

Jeszczem sobie sam na te pytania nie odpowiedział, gdy Antonio nagle bardzo dobrą francuzką wymową do mnie się ozwał:

„Chcesz pan może jeszcze jednę fajkę wypalić? Oto jest przepyszny tytoń z Kabulu, który karawanami tu przybył.”

To rzekłszy rzucił mi kapczuk z niebieskiego aksamitn, złotemi perełkami wyszywany.

„Słuchaj Antonio,” — rzekłem do niego — »bądźmy otwarci z sobą — żadnych dyplomatycznych tajemnic na morzu! Powiedz mi jestżeś rybakiem z Noli, czy rozbójnikiem morskim, lub może przebranym królewicem?”

Antonio roześmiał się na głos. Jigia poprawiała starannie ubranie główki swego dziecięcia, i uśmiechała się szyderczo. Powtórzyłem pytanie:

„Czyż mi nie raczysz odpowiedzieć? Jesteś może szejkiem z Afganistanu, gdy mi dajesz palić tytoń z Kabulu? Albo może korsarzem? A może Indo-Anglikiem z Kalkuty, lub też szczérym, rodowitym *Englishman*'em, który ma dóm handlowy w Bombay albo w Seringapatam? Do licha, odpowiedzże raz przecie! Nareszcie gotów jestem mieć cię za jakiego mogolskiego książęcia, lub lekkomyślnego Francuzika z dobréj familii, który pod tém przebraniem za miłostkami goni i w tym zakątku świata z swoją ulubioną się kryje; bo któż mi ręczy zato, czy twoja Jigia nie jest znakomitą damą z Paryża?”

„Tak — tak!” ozwał się Antonio, wypuściwszy gęsty obłok dymu przed siebie. »Tylko daléj!”

Poczém obrócił się do swojéj żony:

„Jigina, Jiginetta, jestżeś ty hrabiną paryzką?”

Ona nie zważała nawet nato cośmy mówili, ale złożyła swoje uspione dziecię w koszu, i zaczęła sprzątać śniadanie. Potem zbliżyła się do Antonia, i spytała go o coś półgłosem. Antonio wskazał na podługowate pudełko stojące u masztu. Jigia otworzyła je, wyjęła bardzo zgrabną fajeczkę, i zapaliwszy ją sobie, usiadła na swojém stanowisku u steru, kurząc wraz z nami, i poglądając na nas poważnie.

„To, *mia carina,*” — rzekł Antonio — „nie dowodzi jeszcze, że nie jesteś panią z wielkiego świata; bywają bowiem księżniczki które cygara palą. Ale ponieważ nasz gość tyle udziału dla nas mieć się wydaje, tedy powinnibyśmy być otwarci dla niego. Słuchaj więc, mój kochany przyjacielu,” — rzekł do mnie — „Jigina jest z Noli, jak i ja z Noli, Jigina jest córką rybaka, jak i ja jestem synem rybackim. Wasz kraj na wschodzie może być bardzo piękny, ale dla nas jest on tylko bańką mydlaną, o którą się wcale nie troszczym.”

Do Jigii mówił piemontyńskim językiem, do mnie ozwał się po francuzku, wreszcie zaczął sobie jakąś neapolitańską piosnkę nucić.

„Czy umiesz po hiszpańsku?” zapytałem, gdy zamilkł.

„Nie;” — odpowiedział — „lecz cokolwiek po angielsku.”

„I zapewne też po rossyjsku?”

„Rozumiém trochę ten język; jakoż mamy tu kilka rodzin rossyjskich, które zimę w Sardynii przepędzają.”

»Nie wątpię, że i po niemiecku mówisz.”

„Jeden z moich przyjaciół chciał mię wtajemniczyć w ten poetyczny i filozoficzny język, lecz nie mogłem zajść w nim daleko.”

„Naprawdę, Antonio, czy nie jesteś ty djabłem?”

„Nie,” — odrzekł — „bo gdybym nim był, naniecił bym wielki ogień, i spaliłbym wszystkich błaznów i wszystkie błazeństwa, jakie się w świecie dzieją. Zresztą,” — mówił daléj — »postrzegam, iż od półgodziny masz wielką ochotę dowiedzieć się mojéj bijografii. Dlaczegożeś mię zaraz bez ogródki o nią nie spytał? Byłbym ci ją już dawno opowiedział, nie zamilczając ani słowa.”

Słysząc to Jigia ruszyła ramionami, co mogło znaczyć: Lepiejbyś zrobił, gdybyś dla siebie schował, co tu chcesz wygadać. Poczém obróciła się w drugą stronę, i paliła sobie daléj fajkę, niedbając o nas.

„Jia!” zawołał Antonio pieszczotnie. „Nie gniewaj się, ominę, co śmiészne.”

„Owszem,” — odrzekła Jigia, nie obracając się — „opowiedz co śmiészne, a omiń co poważne.”

„Ty, Jiginetta, opowiész sama co poważne.”

»Tak,” — odpowiedziała z przekąsem — „aby się na śmiészność wystawić.”

Ta mała sprzeczka byłaby może dłużéj potrwała, gdyby nie dziécię, które płakać zaczęło. Jigia zapomniała o wszystkiém i starała się utulić dziécię i uśpić. Antonio palił wciąż fajkę, i zaczął nareszcie bardzo płynnie w języku francuzkim opowiadać co następuję:

»Urodziłem się w Noli, mój panie; a rodzice moi byli, jakem miał już przyjemność mu oświadczyć, rybakami. W dwunastym roku życia straci-

łem matkę, nieocenioną osobę, i z znacznym kupieckim domem w Genui spokrewnioną. Mój ojciec wychował mię surowo, chcąc ze mnie najśmielszego na całą okolicę mieć rybaka — a sądzę że mu się to powiodło. Gdym miał lat szesnaście, byłem najnieustraszeńszym nurkiem na całém pobrzeżu. Przytém uchodziłem za bardzo lekkomyślnego chłopca, i słynąłem z piękności; wszakże nie próżność wywołuje to wyznanie. Młode mężatki wysilały całą swoję zalotność dla uwikłania mię w sidła; młode dziewczęta wzdychały potajemnie za mojémi pięknémi oczyma.»

Domówiwszy tych słów, nałożył Antonio nanowo fajkę, i spojrzał na Jiginę, jakgdyby ją chciał prosić o pozwolenie dalszego opowiadania.

„Mając lat dziewiętnaście zostałem sierotą; ojciec mi umarł wróciwszy z rybackiéj wyprawy, w któréj przez sześć godzin z okropną burzą miał do walczenia. Objąwszy po ojcu domowstwo, ogród, sieci, i dwa piękne statki, przemyśliwałem tylko nad tém, jakby nasze rodzinne rzemiosło z chlubą na przyszłość prowadzić; gdy oto przybywa z Genui notaryjusz i przywozi mi szczęśliwą a może też nieszczęśliwą wiadomość o niespodzianém dziedzictwie. Jeden z genueńskich kupców, spokrewniony z moją matką, umarł bezdzietnie i zostawił mi na mocy testamentu 50.000 cekinów, to jest około dwa kroć sto tysięcy franków. Byłoto, jak wszyscy mówili, bardzo wiele dla ubogiego, jak ja, rybaka; a przecież obaczysz pan wkrótce, iż to było zbyt mało.

»Na wiadomość o mojém nowém bogactwie pośpieszyły wszystkie matki z sąsiedztwa z ofiarowaniem mi któréjkolwiek ze swoich córek do wolnego wyboru. Ja zaś udawałem hardego i oświadczyłem, iż się żenić nie myślę, i chcę wprzódy świata użyć. Wiele młodych a ładnych i czułych dziewcząt, zalewało się łzami, wiele matek unosiło się gniewem i złorzeczyło mi z całego serca.

»Gdy się dowiedziano iż odjeżdżam, życzyli sobie niektórzy z moich dawnych przyjaciół nabyć moję ojczystą posiadłość w Noli. Nie przystałem wszakże na sprzedaż, gdyż nie mogłem się rozstać z moją rodzinną nadmorską chatą, mojémi sieciami i statkami — i tyle tylko na sobie przemogłem, żem te ojczyste skarby na czas mojéj niebytności najgodniejszemu z przyjaciół do użytku zostawić przyrzekł, i w istociem też wkrótce wybór najgodniejszego uczynił.

»Dniem przed moim do Genui wyjazdem, wyszedłem sobie na brzeg morza i usiadłem na wysokiéj skale, żegnając ze łzami w oku rodzinną okolicę. Wtém ujrzałem młodziutką, czternastoletnią dziewczynkę, prawdziwe cacko piękności, zbliżającą się ku mnie. Gdy już na kilka kroków ku skale przystąpiła, stanęła, spojrzała na mnie okiem pełném dziecinnego zaufania lecz oraz i dziwnéj godności, i rzekła:

„Ty odjeżdżasz, Antonio?”

»Tak jest, myślę odjechać, czy masz mi może co do zlecenia?»

»Miałabym jednę prośbę do ciebie.»

„Prośbę, moja luba!” zawołałem. „To mię w istocie zadziwia. Przebacz, ale nie wiém nawet jak się nazywasz, i zdaje mi się, jakbym cię po raz pierwszy widział.»

»Ach,» — westchnęła w odpowiedź — »lękałam się tego, iż będąc tak młodą, a nie tak piękną jak inne, będę ci wcale obcą i nieznaną.»

„Nie tak piękną!” odpowiedziałem żywo. „Mylisz się, moje dzięcię. Przystąp, usiądź sobie tu przy mnie, zapoznamy się bliżéj.»

„Nie — nie można,” odrzekło dziewczę; „chciałam cię tylko o jedno prosić. Oto przyrzeknij mi nosić zawsze ten szkaplérz na piersiach; był on poświęcony przez ojca świętego, papieża, gdy tenże za francuzkich czasów, w niewoli w Savona, zostawał. Dała mi go moja matka, a ja tobie go daję, będzie on ci ochroną od wszelkich niebezpieczenstw — gdyż odjeżdżasz tak daleko!»

„Przyjmuję chętnie twój szkaplérz, moja luba,” — odpowiedziałem — „i jestem pewny, iż mię będzie strzegł ode złego. Nawzajem zaś, proszę cię przyjąć ten mały śrébrny krzyżyk, który także od mojéj matki otrzymałem. Na godzinę przed śmiercią zawiesiła mi go umierając na szyję, i wielce go też szanuję, i ciebie także proszę, abyś go szanowała. Gdy wrócę, oddasz mi go i weźmiesz zań swój szkaplérz, a jestem pewny, iż te dwie zamieniane przez nas, nieznających się, relikwije, przyniosą nam błogosławieństwo nieba. Zamieniliśmy więc pamiątki, poczém postrzegając rozwijającą się dopiéro piękność dziewczęcia, chciałem ją pocałować. Lecz moja przyjaciółka odstąpiła z powagą i rzekła:

„Nie dałam ci, Antonio, żadnego prawa, obchodzić się ze mną tak poufale.»

Ta surowość u czternastoletniéj dziewczyny zmieszała mię na chwilę.

„Przebacz mi,” — odpowiedziałem — »zdawało mi się iż jesteś moją siostrą.»

„Ach — widzę,” odrzekła uśmiechając się z niejaką dumą; »kobiety w Noli zepsuły cię.»

„A zkądże to wiesz, moje dziecię?”

„Zkąd?” odrzekła nieśmiało. „A od czegoż są oczy? Nie widziałamże tyle razy, jak się tutejsze dorosłe dziewczęta zalecały do ciebie? co mi zawsze niegodném się zdawało.»

»Jesteś bardą, moja kochana. A nie powiedziałażbyś mi teraz przyczyne twojéj wielkiéj troskliwości o moje powodzenie?»

„I na cóż? W jakim celu?”

„Bogdajby tylko dla zadowolenia mojéj ciekawości.”

„Więc tylko w żarcie chciałbyś moje myśli wiedzieć?”

»Nie, wcale nie, moja luba; jestto rzecz bardzo naturalna, iż się o powód twojego uprzejmego obejścia pytam.”

»Daj temu pokój,” — odpowiedziała — „zaprzestańmy tej niepotrzebnej mowy; zatrzymaj mój szkaplerz a ja będę twój krzyżyk chować.»

»Toż mi powiesz przynajmniej, jak się nazywasz?”

Przy tych słowach obrócił się opowiadający nanowo ku Jiginie, która paląc spokojnie fajkę, na morze spoglądała.

»Niepotrzebnie, mój przyjacielu,” — odezwałem się natenczas do Antomarka — „chcesz prosić o pozwolenie nazwania imienia twej przyjaciółki. Znane mi jest dobrze to imię.”

»Jeżli tak,» — odpowiedział — »tedy powiodę dalej moję powieść. Słońce zapadało już krwawo w morze i trzeba się było rozstać. Nie mogłem przenieść na sobie nie podziękować dziewczynie, i nie pożegnać się z nią na długo, i wziąłem ją więc za rękę, którą ona śpiesznie usunęła. „Jakto,” — zawołałem — »nie chcesz nawet pozwolić, abym koniuszek twoich palców ucałował? Wszakże sama Madona z Albenga nie odmawia tak niewinnej łaski nikomu?»

„Madona robi, co się jéj podoba — a zawsze dobrze czyni;» dodała piękna dziewczyna.

»Otóż i ja także pójdę za przykładem Madony, i zrobię raz co mi się podoba.»

„To rzekłszy ująłem ją za rękę i czule ją ucałowałem.»

— »Nie masz się czém chwalić, mój Antonio;” — ozwała się piękna Jigina u steru, patrząc ciągle na morze. »Ta mała swawola nie była wcale chwalebną.»

„Być może;” odrzekł Antonio, a potém mówił dalej:

»Małe dziewczę było z razu bardzo obrażone i rozgniewane, ale nakoniec przecież pożegnało mię tak przyjaźnym, co więcej, tak czułym, niewinnym i lubym wzrokiem, że on całą moję duszę przeniknął, poczém wymknęła mi się z przed oczu i pobiegła ku siołu. W niedalekim oliwnym gaju dostrzegło ją moje oko po raz ostatni. Prawie jeszcze przez pół godziny marzyłem na owéj samotnéj nad morzem skale. To urocze zjawienie wprawiło mię w słodką ułudę. Ucałowałem pięć albo sześć razy szkaplerz i zawiesiłem go sobie na szyi, postanawiając, nigdy go ztamtąd nie zdejmować. Dopiero późnym wieczorem wróciłem rozmarzony do domu. Po raz pierwszy w życiu wydał on mi się pustym i samotnym.

»Lecz to smutne wrażenie ustąpiło przygotowaniom do podróży. Miałem nazajutrz wieczór odjechać. Prędzéj, niż się spodziewałem, nadeszła chwila rozstania się z mojém rodzinném miejscem. Zmierzchło się już nad morzem, lecz tak miłym, wieczornym zmierzchem, jakiemi tylko rozkoszne jesienne wieczory śródziemno-morskich wybrzeży poszczycić się mogą. W zatoce pod Noli stał rączy okręt o trzech masztach na kotwicy, czekając tylko pomyślnego obrotu wiatru, aby do Genui popłynął. Udałem się na jednym z moich statków, w towarzystwie ulubionego przyjaciela na pokład przewozowego okrętu. Pożegnalismy się z przyjacielem serdecznie, umawiając się jeszcze o zachowanie dla mnie moich pozostawionych statków i sieci, ogrodu i chaty, a wkończu odpłynął mój przyjaciel nazad do Noli, śledzony długo tęskném okiem przeze mnie.

Około dziesiątéj godziny zawiał pomyślny wiatr od lądu. Podniesiono kotwicę, rozwinięto żagle, a uwolniony z kotwicy okręt zaczął się z lekka kołysać. Wkrótce wypłynął na otwarte morze. Muszę się przyznać, iż z nadzwyczajném wzruszeniem na znikające przede mną światełka mojéj rodzinnéj wioski patrzyłem. Powoli zniknęły sygnałowe ognie na brzegach jak gwiazdy zapadające w morze. Jedna tylko strażnica morska błyszczała jeszcze z dala, aż wreszcie i ona jakby w falach utonęła, a głowa moja oparła się smutno o poręcz pokładu, westchnienie wydobyło się z piersi, i łza spłynęła z oka.»

„Tak jest, wierzaj Jigino;” — rzekł Antonio po krótkiéj przerwie — „przysięgam, iż w téj chwili wystąpił mi twój luby obraz przed duszę, i ucałowałem czule otrzymany od ciebie szkaplerz.»

»Ale, mój miły gościu,” — ozwał się Antonio po nowéj pauzie, zwrócony ku mnie — „hoża młodość prędko się z tkliwych i czułych wzruszeń otrząsa. Mając ośmnaście lat, przytém nadzieję wielkiego majątku i dalekich rozkosznych podróży, jakże mógłbym był nie czuć przyjemności otwierającego się przedemną życia, i niezapomnieć cichéj, rodzinnéj wioski!»

Nazajutrz rano stanęliśmy w zatoce genueńskiej. Niezdołam ci opisać, jak czarowne wrażenie sprawił na mnie widok słońca wschodzącego nad pyszném »miastem pałaców.”

Po zadowoleniu przepisów kwarantany wjechaliśmy do portu, gdzie nas niezliczone mnóstwo powiewających z masztów chorągiewek dwóchset okrętów powitało. Wyskoczyłem z radością wylądującego zdobywcy na wybrzeże, wziąłem mój tłumoczek na plecy, podróżny kij do ręki, i pospieszyłem do znanéj mi już oberży, gdyż już byłem raz z moim ojcem w Genui.»

Najprzód postarałem się o sute śniadanie i o najlepsze wino, jakie tylko było w oberży. Zapragnąłem wiedzieć, co to jest przepych, o którym dotąd tylko czasem marzyłem. Po śniadaniu kazałem się zaprowadzić do zacnego notaryjusza, u którego złożony był testament mojego wuja i dobroczyńcy. Przybyłem do jego mieszkania przy

ulicy San Carlo z radością w sercu i żywym rumieńcem na licach, który niczemu innemu przypisywać nie należało, jak tylko dobremu winu przy śniadaniu. W tém uderzyła godzina południowa. Natychmiast zabrzmiał duży dzwón na wieży San-Angelo i zagrzmiało działo cytadeli Darsene w oznajmienie spełnionéj dnia połowy."

„Mój notaryjusz wybiegł na przeciw mnie aż na schody i ujął mię czule w ramiona."

„Ach, przybywasz wpan, mój zacny przyjacielu, to pięknie. Lecz cóż ja widzę! Nie wdziałeś jeszcze żałoby?"

„Przyznnaję się ze wstydem iż mi to jeszcze dotąd na myśl nie przyszło, i wybąknąłem kilka słów o różnych temu przeszkodach. Pan notaryjusz zaprowadził mię do swojego gabinetu.

„Tak jest, mój przyjacielu" — ciągnął rzecz daléj — „przede wszystkiem należy się wdziać żałobę."

Poczem zadzwonił na służącego i poszepnął mu coś do ucha. Po odejściu służącego usiedliśmy przy biurku, okrytém różnemi papierami.

„Dziękuj opatrzności, mój przyjacielu" — rzekł notaryjusz z wzruszeniem, które zniewoliło go wziąć dużą jedwabną chustkę w pomoc — „dziękuj opatrzności, która tak wielkie rzeczy dla ciebie zdziałała. Bierzesz dziedzictwo bez żadnéj opłaty i bez wszelkiego zobowiązania się; twój wuj i dobroczyńca postarał się o wszystko; o, twój nieboszczyk wuj byłto rzadki, wspaniałomyślny człowiek!"

To mówiąc rozwinął swoję ogromną chustkę i utarł sobie — nos, gdyż o łzach oczy starego prawnika zdawna nic nie wiedziały. Przy całéj scenie byłem zdziwiony, milczący, i ledwie że nie wzruszony.

„Tak jest mój panie" — odrzekłem wreszcie do notaryjusza — „wszystko to jest bardzo piękne i dziwne, a nawet tem dziwniejsze, iż ja wcale mego nieboszczyka wuja nieznałem. Zkądże on się dowiedział, iż ja na świecie jestem?"

„Ten zacny mąż" — odpowiedział notaryjusz — „miał dokładny spis wszystkich swoich krewnych. Zapisał zaś tylko tym swój majątek, którzy nigdy o nic go nie prosili. Wpan należałeś na szczęście do ich liczby, i dla tegoto iż cię nigdy nie widział, nigdy nic o tobie nie słyszał, mianował cię głównym dziedzicem."

„Jestto piękny rys jego charakteru!" — odrzekłem — „Okazuje się z niego, iż mój wuj kochał najwięcéj tych ludzi, których nie znał."

„Tak jest" — odpowiedział notaryjusz z uroczystą powagą — „Wuj pański posiadał w wysokim stopniu ten osobliwszy przymiot."

„Jestto zaprawdę szacowny przymiot, i mimo mojego niewymownego przywiązania do mego wuja, jestem rad w duszy, iż go nigdy w mojem życiu nie widziałem!"

„Rozumiem to uczucie delikatności" — dodał notaryjusz, ściskając mię za rękę — „A teraz, mój młody przyjacielu, czy jadłeś już obiad?"

„Nie jeszcze, jadłem tylko śniadanie."

„Więc zostań u nas na obiad; moja familija pragnie mocno cię poznać, i jest ci wielce pezychylną."

„Już teraz!" zawołałem. „Ileż dobroci dla ubogiego rybaka z Noli."

»Ubogiego rybaka!" powtórzył notaryjusz z dowcipnym uśmiéchem. »Masz się jeszcze za ubogiego!"

»Ach prawda, zapomniałem o moich 50.000 cekinach."

W téj chwili wszedł służący. Przyniósł z sobą jakieś duże zawinięcie. Notaryjusz zaprosił mię do ościennego pokoju, abym się przebrał. W przeciągu kwadransa byłem od stóp do głowy w żałobie. Ztémwszystkiém, spojrzawszy w źwierciadło, i obaczywszy się zamiast w rybackiéj sukni, w széroki czarny surdut owiniętym, parsknąłem mimowolnie głośnym śmiéchem, i skompromitowałem przeto niemało powagę mojéj żałoby po nieocenionym wujaszku. Gdym chciał kilka kroków postąpić, zdało mi się, iż buty były zbyt ciasne. Szedłem, jakgdybym dopiéro chodzić się uczył. Notaryjusz poprawił mi fontaż u chustki na szyi, dał mi czarną krepą owiązany kapelusz do ręki, i poprowadził mię na salę, gdzie nas jego familija już oczekiwała.

(Dokończenie nastąpi.)

Wiedza, pamięć, przypomnienie.

Wiedzy nie mogła poprzedzać pamięć, bo możnaż wprzód pamiętać niż wiedzieć? Przed pamięcią nie mogło być przypomnienie, bo gdzieżbyśmy sobie co przypominali jeżeli nie w pamięci? A mogliżbyśmy w pamięci co przypomnieć sobie nie mając wiedzy o tém? Więc w saméj już wiedzy mieszka pamięć i przypomnienie, i sama już wiedza jest pamięcią i przypomnieniem; bo za sferą wiedzy nie może być pamięć, a za sferą pamięci nie może być przypomnienie. Więc w dnie wiedzy jest już dno pamięci a w dnie pamięci dno przypomnienia, i témi trzema dnami dni się, trzyma się, tworzy się, wtórzy się wiedza. Więc punkt wiedzy, wtórząc z dna swego i promień i sferę wiedzy, tworzy wraz tosamość i nietosamość z samości swojéj; ale co wtóre, już nie piérwsze, już inne; a co inne, już drugie, a co drugie, już różne. Jakaż więc różnica między wiedzą, pamięcią a przypomnieniem? Nie inna, jaka między punktem, promieniem a kołem; a jak punkt stał się wraz i promieniem i kołem przez określenie się, tak wiedza stała się wraz i pamięcią i przypomnieniem, przez opamiętanie się. A że wiedza w samości swojéj jako punkt, może mieć trzy dna, trzy sfery jako te same i nie te same, więc wiedza może

wiedzieć i różnicę, może twierdzić i zaprzeczać, może wiedzieć, że wie i nie wie, że pamięta i nie pamięta, że przypomina sobie i nie przypomina. Ze wszczęciem więc siły opamiętania się wiedzy, wszczęła się siła oddziaływania wiedzy, wszczęło się odnoszenie punktu do promienia, a promienia do sfery, i odwrotnie; tym środkiem przez środki, wszczęła się refleksyja, myśl, uwaga, wszczęła się rozmoga wszystkich przymiotów ducha człowieczego; tym środkiem przez środki, wszczęło się uznanie się wiedzy w jestestwie swojém; tym środkiem przez środki, ma wiedza znanie i poznanie świata wnętrznego i zewnętrznego. Więc wiedza, pamięć, przypomnienie, je dno (jest dno) jednego i niejednego; jest dnem tosamości i różnicy, i pod tym względem prócz innych odcieniów, przybiera nazwę umu i roz-umu. *t. n. k.*

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 32gi i zawiéra: 1) Czy ogrodzenie pól ornych jest pożyteczne lub szkodliwe? W opowiedź na artykuł w poprzedzającym numerze Tygodnika umieszczony: »O ogrodzeniu podziałów płodozmiennego gospodarstwa.« 2) Szczegółowe opisanie młócarni pana Hellmana, z ryciną. (Nadesłane zpod Zbaraża). 3) Prezerwatywa na paraliż u jagniąt. 4) Co robić aby kwiat z drzew owocowych a szczególnie z wiszni nie padał? 5) Wapno hydrauliczne. 6) Wiadomości handlowe.

Dziennika mód paryskich pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 17ty i zawiéra, prócz mód, następujące artykuły: 1) Dwa obrazy z życia, przez Innocentę z P* P*. 2) Z melodij hebrajskich Kornela Ujejskiego: Jubal. 3) Marcin Chuzzlewit, kilka rysów Ameryki i jéj mieszkańców. Ciąg dalszy.

Od czasu naszego ostatniego doniesienia literackiego ogłosiły pisma czasowe wiele dzieł nowych, z których następne są najważniejsze. W wydziale historyi, zaczynając od źródeł: *Kodex dyplomatyczny Litwy*, wydany z rękopismów w archiwum tajném w Królewcu zachowanych, przez (ś. p.) Edwarda Raczyńskiego, w Wilnie. — Przyczynek do dziejów Jana Kazimiérza, Michała Wiszniowieckiego i Jana Sobieskiego, *Dyaryjusz wojew. witep. J. A. Chrapowickiego*, wydany z autentyku przez J. Rusieckiego. — Rękopism historyczny *Dworzanina i wychowańca Zygmunta Augusta*, wydany przez A. E. Koźmiana, z przedmową i uwagami wydawcy, tudzież z dodaniem Testamentu Marka Matczyńskiego woj. rusk. najpoufalszego przyjaciela króla Jana IIIgo. — Ważny jest także w tym względzie wydany przez Mich. Grabowskiego 1szy tom *Pamiętników domowych*, zawierający dwa oddzielne pamiętniki: 1) Wacława Borejki, i 2) Kar. Micowskiego, malujące obraz zwyczajów i obyczajów obywatelskiego życia głównie na Wołyniu. — Z właściwych utworów historycznych wyszły: *Historyi literatury polskiéj w zarysach* przez K. W. Wojcickiego, tom 1szy, zawiérający prócz wstępu dwa okresy historyi literatury od roku 700 (!) do 1521, czyli do wydania piérwszéj książki polskiéj. Nastąpią jeszcze dwa tomy, mające zawiérać Wieki średnie i Wieki nowożytne po rok 1845ty. — *Dzieje Jana IIIgo Sobieskiego*, króla polsk., przez Leona Rogalskiego, w 6ciu zeszytach, w Warszawie. — W Wrocławiu ogłosił Tad. Wolański *Listy o starożytnościach słowiańskich*, zbiór 1szy z 143 rycinami na 11 tablicach. — Oprócz tego wychodzą ciągle *Dzieje Krzyżaków i Litwy*, w poszytach — *Historyja angielska* przez Dziekońskiego, *Historyja rzymska* prof. Szwajnica, osobliwie zaś szacowne dzieło *Polska starożytna*, wydaw. przez M. Balińskiego i Tym. Lipińskiego; wyszło już 21 zeszytów. — Na polu pięknéj literatury wystąpił p. Fr. Zatorski z dwoma poematami bohatérskiémi, *Witold nad Worsklą* i *Znicz nad Niewiażą*, czyli *Nawrócenie Żmudzi*. — (Mich. Grabowski) Edw. Tarsza, autor Koliszczyzny, Stannicy, wydał *Tajkury*, powieść narodową w 3 tomach. — Tenże sam w Pamiętnikach umysłowych, wydawanych przez Rom. Poberezkiego (Jana z Sliwiny) ogłosił powieść *Pan Starosta Zakrzewski*. — W tymże samym zbiorze: *Opowiadanie stoletniego kozaka Korży* przez Teod. Narbutta. — Ignacy Chodźko wydał *Pamiętniki kwestarza* w 2 tomach w Wilnie. — W Teatrze wielkim warszawskim przedstawiają nową komedyję J. Korzeniowskiego pod nazwą: *Przesąd* czyli *Doktor medycyny*. — U Strąbskiego w Warszawie wyszło zapowiedziane *Album Warszawskie*, odznaczające się nadzwyczajnym przepychem wydania, i mnogością spółpracowników, zawiéra bowiem imiona wszystkich prawie (19) literatów warszawskich. Ogłoszenia warszawskie mniemają iż — »mogą śmiało wyrzec, że żadne z tego rodzaju pism nie może z Album Warszawskiém iść w porównanie, ani co do doboru przedmiotów, ani co do tak wielkiego rozmiaru (formatu).«

Paweł Jarkowski, były profesor biblijografii i gramatyki powszechnej przy szkole krzemienieckiej, przeszło pół wieku publicznemu wychowaniu młodzieży krajowej oddany, i ztąd, mimo iż ogół publiczności nie wiele o nim słyszał, bardziej od niejednego głośnego dziś literata zasłużony, umarł 24. maja w 64 roku życia, w Kijowie. Napisał on wiele dzieł uczonych, jakoto: Elementarny kurs bibliografii, Zasady powszechnej gramatyki, O początku, pochodzeniu i wykształceniu języków, O bibliografii i niezbędnych dla bibliotekarza wiadomościach, Historyją biblioteki lyceum Wołyńskiego i t. d. Wszystkie te prace pozostały w rękopismach. —

Upominki w dawnej Polsce. Miejsce tylu rodzajów świetnych ozdób i zaszczytnych upominków, jakie monarchowie w dzisiejszych czasach rozdają, zastępowały w wieku 16tym łańcuchy złote, puchary srebrne wyzłacane, kosztowne futra i drogie do odzieży służące materyje. Hojność w ich rozdawaniu była niewyczerpana. I tak z liczby książąt i posłów zagranicznych, znajdujących się na weselu Zygmunta Augusta z arcyksiężniczką Elżbietą Rakuzanką w Krakowie, dnia 5. maja 1543 odbytém, nie odjechał nikt bez upominku odpowiedniego stopniowi jego godności. Najznakomitszy gość, Albert, książę pruski, ostatni mistrz krzyżacki, siostrzeniec królewski, przybyły do Krakowa w orszaku 4?0 osób i 500 koni, obdarzony był złotym łańcuchem, tysiącem sztuk niedawno przedtém zjawionych talarów i czterema sorokami celnych soboli. Wysłany od panów węgierskich Andrzej Batory, stryj późniejszego króla Stefana, otrzymał w darze 22 łokci aksamitu, a poseł króla rzymskiego Ferdynanda, Joachim Szlik, hrabia na Joachimsztadzie, który wybitémi w swoich kopalniach talarami, mógłby był cały Kraków zarzucić, otrzymał w podarunku 20 łokci adamaszku na suknie.

Przemysłowość miast niemieckich. Dla przekonania się o rzadkiej skrzętności przemysłowej, jaka ową spokojną, pracowitą ludność miejską ożywia,

zastanowmy się, ileto rozmaitych wynalezców wydało jedno tylko miasto Norymberga, znane ze swoich rozlicznych wyrobów, a mianowicie zabawek dziecięcych, które tamtejsze dzieci z drzewa zimową porą wyrabiają. Mieszczanin tamtejszy Piotr *Hell* wynalazł tam przy końcu 15go wieku zégarki kieszonkowe; *Tandorf* pedały; *Rudolf* sposób robienia drutów; *Lobsinger* wiatrówki; pewien *nieznajomy* zamki do broni palnéj zam ast lontów, których z początku używano; Krzysztof *Denner* klarynety; Erazm *Ebbner* mieszaninę znaną pod nazwą mosiądzu; Marcin *Bohann* glob ziemski a Jan *Muschels* wydoskonalił trąby. Tyle wynalazków dowodzi osobliwszej pilności w uprawianiu wszelkich gałęzi sztuk i przemysłu.

Kobiéty i kolory. Słynny ze swojéj znajomości ludzi i świata, powieściopisarz francuzki Balzak, mówi w tym przedmiocie, jak następuje: »Każdy charakter obiéra sobie kolor, jaki mu najlepiéj odpowiada. Można prawie być pewnym, iż kobiéty które noszą suknie amarantowe, pomarańczowe, czyżykowe i t. p., posiadają charakter kłótliwy.... Należy się wystrzégać kobiét, które lubią kolor fijoletowy, a bardziéj jeszcze tych co noszą żółte kapelusze; również jak wszystkich, które się czarno ubiérają, bo to jest kolor kabalistyczny, i trzeba się smutnémi myślami zajmować, aby go obrać. Biały, przeciwnie jest kolorem charakterów które żadnego nie mają charakteru — i oznacza tylko, iż dama, która się zwykle biało ubiéra, jest zalotną. Nié ma w tem prawie wyjątku; jakoż można to nawet z historyi dowieść, gdyż cesarzowa Jozefina, pani Tallien, pani Recamier i inne znane zalotne damy, nosiły się prawie zawsze w bieli. — Kolor różowy obiérają zwykle kobiéty, którym już 25ty — a może nawet i dalszy rok życia minął. Młode panienki nie lubią tego koloru, przenosząc nadeń ciemny, lecz to tylko dlatego, iż jeszcze tajemnic elegancyi nie znają. Otóż kobiéty które noszą kolor różowy, i nad każdy inny go przekładają, są powszechnie — nie ma prawidła bez wyjątku — wesołe, dowcipne i odznaczają się gracyją. — Kolor błękitny jest barwą serca i piękności; lubi go każdy wiek, i każdemu téż z nim do twarzy. Kobiéty obiérające ten kolor, bywają zazwyczaj łagodne, i rozmyślne. Jeźli są jeszcze młode, można być pewnym, że zachowały skromność, wstydliwość i niewinność; jeźli zaś już przekwitły, tedy jest niezawodną rzeczą, iż témi przymiotami się odznaczały. — Kolor perłowy jest barwą osób, które się smucą i za nieszczęśliwe się uważają; w kolory błękitne i różowe stroją się kobiéty w dnie szczęśliwe; szary, perłowy, przybiérają w czasie cierpienia; są jednak zbyt łagodnego serca, aby od stóp do głowy czarno się okryć. Kolor szary stanowi przejście prowadzące do koloru pociechy — błękitu i hortensyi. — Lilijowy bywa ulubioną barwą kobiét, które lub były niegdyś piękne, lub są jeszcze niemi oddawna — niby emerytura kobiét, wsławionych wielkiemi zwycięztwami. Kapelusze lilijowe noszą matki zwykle w dzień wesela swych córek, i damy 40letnie, gdy z wizytami wychodzą.

Czcionki do hijeroglifów. Dotąd zbywało jeszcze na czcionkach, któremiby egipskie hijeroglify drukować można. Teraz kazał dyrektor drukarni królewskiéj w Paryżu sporządzić takie czcionki. Dla oddania wszysthich figur jakie w tém piśmie przychodzą, potrzeba przeszło 1500 osobnych znaków.

Cygara z papiéru. Miłośnicy tytoniu mogą się nowym i bardzo dla nich ważnym wynalazkiem ucieszyć. Oto wynaleziono we Francyi papiér, który z liści tytoniowych się robi, i jak zwyczajny papiér w arkuszach się sprzedaje. Można więc podług upodobania uciąć sobie mniejszy lub większy kawał tego papiéru, i zwinąć go w cygaro. Jestto tak praktyczny wynalazek, iż rząd, jako monopolista tytoniowy, wszedł już w układy z wynaleźcą.

Nowe zatrudnienie inwalidów paryskich. Jestto pora zielonego grochu. Wszyscy tylko groch jedzą. Ale jak tu nastarczyć rąk do łuszczenia grochu dla całéj milijonowéj ludności Paryża? W kłopocie nad tém przyszła zacnym damom *de la halle* wyborna myśl do głowy. Udały się do hotelu inwalidów i wezwały starych wojowników, którzy jeszcze obie ręce mają, aby przyszli im w pomoc — groch łuszczyć. Osobliwszy też to był widok, patrzyć się na tych starych wiarusów, siedzących na targowicy *des Innocents* przy tak niewinnéj pracy!

Wyroby z ości. W bazarze poznańskim są teraz wystawione na widok publiczny wyroby z ości rybich, będące dziełem jednéj z tamtejszych obywatelek, która tą oryginalną pracą rzadkiego w istocie talentu dowiodła. Na pozór zdawałyby się wyroby z ości drobną tylko igraszką; wszakże naoczne przekonanie sprawia inne wcale wrażenie. Sąto utwory prawdziwéj sztuki i wieloletniéj pracy, zdumiewające swoją wielkością i godne podziwienia w najmniejszych swoich szczegółach. Zwraca mianowicie uwagę kościoł katedralny o dwóch wieżach, blisko trzech stóp wysokości, przedziwnej struktury. Przez otwarte drzwi główne widać rozmaite wewnętrzne ozdoby kościelne, jakoto wielki ołtarz, ambonę, świeczniki, krzesła, ławki, zgoła nic nie pominiono. Na przedniéj facyjacie kościoła wspiéra dwóch aniołów monstrancyją na szczycie zatkniętą. Dziwi tu zręczny dobór ości ze szczęk rybich, naśladujących kształt skrzydlatych aniołów.

Nic w żarcie donosimy następującą wiadomość: Przy oglądaniu trupa pewnej samobójczyni, które się dnia 21. maja b. r. w Londynie pod prezydencyją członka izby niższej, pana Wakley odbyło, oświadczyli trzej obecni przysięgli, iż dziewica dla tego się zabiła, ponieważ za mąż nie poszła; poczém jeden z przysięgłych w obszernéj i gruntownéj mowie wykazał: jako niezaprzeczoną jest rzeczą, iż wiele dziewic jedynie z braku mężów umiera — zatém jest tego zdania, iż ustawodawstwo wglądnąć w tę rzecz powinno, zmuszając wszystkich bezżeńców w pewnym wieku do żenienia się. Szlachetnie myślący mowca wezwał nawet pana Wakley, ażeby parlamentowi bil w téj mierze przedłożył; co jednak tenże uchylił, zapewniając, iż w razie przyprowadzenia tego bilu do skutku, samobójstwa przez zniewalanie do małżeństw, niezawodnieby się podwoiły.«

Talent wszechstronny. »Czy znasz tego jegomości?« zapytał ktoś przyjaciela. »O, gdybyś wiedział co to za człowiek!« — »No, i cóż osobliwszego; zwyczajny człowiek; nic więcéj.« — »Ale gdzież tam,« odpowiedział przyjaciel; »chociaż jak na co innego wygląda, przecież jestto wyborny krawiec, stolarz jak rzadko, myśliwy doskonały, i szewc niezgorszy.« — »Co ty też prawisz! Ten gładysz?« — »Oho, gładysz! Jak zechce to ci i kurtę skroi, i buty uszyje, i stołek przystawi, i w pole wyprowadzi — jestto talent wszechstronny!«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.